

[fragment książki](#)

Gdzie jest mój dom?

Przez pierwszych kilka lat przemierzania świata i zamieszkiwania pod różnymi adresami mawiałam, że jestem tymczasowo bezdomna. Nigdy nie uważałam tamtych miejsc za prawdziwy dom, a jedynie chwilowy. Zawsze wiedziałam, że opuszczę dane miejsce, nie zagnieżdżę się ani nie zapuszczę korzeni. Napotykać ludzie pytali: „Gdzie jest twój dom?”, mając na myśli kraj pochodzenia. Odpowiadałam zgodnie z tym, co mówił paszport.

Czy dom to cztery ściany? A może osoby, które w nim mieszkają? Czy to miejsce pochodzenia?

Czasami mówimy, że jesteśmy w domu – mając na myśli spokój, harmonię i ukojenie nerwów – w miejscu dobrze nam znanym.

Przez kilka lat związku z Clintem, Amerykaninem poznanym w Gruzji, mawiałam, że dom to nie miejsce, że dom można znaleźć w drugiej osobie. On okazał się jednak domem tymczasowym.

Z czasem znów zaczęłam nazywać Polskę domem. „Bo tam dom twój, gdzie serce twoje”. Im więcej i dalej podróżowałam, tym bliżej czułam się ze swoją rodziną i z krajem. Do pewnego stopnia na pewno go idealizuję i widzę w nim azyl. Gdy jednak przebywam w nim za długo, czuję, że czas się pakować i znów ruszać w drogę. Nie wiem, czy kiedykolwiek wrócę do Polski na stałe, ale to chyba już zawsze będzie mój dom. A może znajdę nowy dom gdzieś w szerokim świecie? Cokolwiek to znaczy.

Rozdział 2

Codziennność



Mieszkanie w tropikach nie znaczy, że codziennie leżę na plaży. Czasem zmagam się z prozą życia, które wygląda zupełnie inaczej niż w Polsce.

Moje podróże to nie ciągłe przygody ani życie usłane różami. Nie każdego dnia przemierzam nieznane lądy, poznaję nowe osoby, odkrywam miejsca zapierające dech w piersiach. W wielu przypadkach to codzienność i rutyna, praca, dom, znajomi. Może trochę inna, bo pod palmami lub z robakami, ale dość monotonna. Czasami przygody życia nie przytrafiają się w podróży, a w życiu codziennym gdzieś na świecie, i zdarzają się rzeczy, które nigdy nie przeszłyby mi przez myśl w Polsce. Czasem bardziej zabawne, czasem mniej, niebezpieczne, smutne, łamiące serce. Podróż nauczyła mnie, że należy traktować je z dystansem. Niekiedy jest to ocean dystansu, a niekiedy zaledwie długość wykałaczki.

Piasek na Malediwach

Każdego poranka w malediwskim raju wita nas promień słońca padający na twarz i szum fal zza okna uderzających o piaszczystą plażę koloru kości słoniowej.

Mnie codziennie witała miotła. Przez cały okres pracy jako instruktorka nurkowania więcej zamiatałam, niż nurkowałam. Piach był wszędzie. Pod stopami chrzęściły mikroskopijne ziarenka na kafelkach. Schody do mojego skrzydła mieszkalnego wyglądały niczym po burzy piaskowej. Mimo że codziennie trzepałam wycieraczkę przed drzwiami i matę przy łóżku, piach i tak nie znikał. Jak w kreskówce: gdy wyrzucasz coś przez drzwi, to wraca przez okno. Ale swoje okno przecież zamykałam.

Piachu z łóżka nigdy nie zdołałam się pozbyć. Jakby krasnale z *Kingsajzu* codziennie w nocy robiły inwazję na moją pościel i wsypywały pod nią sterty piachu, który wymiatałam przed snem.

Nigdy w życiu nie zamiatałam tyle piachu w pokoju, na korytarzu czy w pracy. Został mi chyba taki nawyk, bo od tamtej pory, ilekroć odwiedzam rodziców, codziennie zamiatam podłogę.

Brak wody w Tajlandii

Mimo że przeklinałam Gruzję za jej problemy z wodą, po wielu latach doceniłam tamto doświadczenie, bo już nigdy brak wody nie objawiał mi się jako koniec świata. Zawsze coś dało się zaradzić.

Karina wyjątkowo zapukała do mojego okna. Na ogół to ja o 6.30 nad ranem budziłam ją na poranny bieg po tajskej plaży.

– Martyna, nie ma wody. To dziś chyba nie biegamy, co? – usłyszałam zza szklanych żaluzji.

– No nie, bo jak się później umyjemy przed pracą? – wymamrotałam jeszcze z zamkniętymi oczami. – A dziś idziemy do szkoły, więc trzeba się elegancko ubrać – dodałam, przewracając się na drugi bok. Cieszyłam się z dodatkowej godziny snu. Za każdy inny powód posądziłabym przyjaciółkę o lenistwo, ten jednak był usprawiedliwiony.

– Dobra, to wracam spać – brzmiał oddalający się głos Kariny.

Słońce już wpadało do mojego pokoju, a za oknem słyszałam kumkanie żab z najbliższej sadzawki pozostałej po wydobyciu cyny w tajskej nadmorskiej wiosce.

Ta myśl uderzyła mnie znienacka. Wybałuszyłam oczy, jakby mi się przypomniało, że zostawiłam mleko na gazie.

– Woda! – krzyknęłam tak, aby odchodząca Karina jeszcze mnie usłyszała. Zerwałam się na równe nogi i wybiegłam z pokoju prosto na ulicę przed naszym domem. Kto by budował przedpokoje w tropikach?

– Skoro nie mamy bieżącej wody w kranie, to również w ubikacji. – Złapałam przyjaciółkę, jeszcze zanim zatrzasnęła za sobą



Ponoć co za dużo, to niezdrowo. Biały, miękki piasek może okazać się zimą, gdy jest na całym ciele, we włosach, na podłodze, w łóżku, na ubraniach, po prostu wszędzie, i do tego przez cały rok.



metalowe, prawie pancerne drzwi. – Mieszka nas tu ośmioro, jak wszyscy skorzystamy z toalety i nie spłuczemy wody, to po trzydziestu minutach trzeba się będzie ewakuować. – Pokazałam na wszystkie pokoje pełne ludzi, którzy jeszcze leżeli w objęciach Morfeusza.

– *Shit*, masz rację. To co robimy? Skąd weźmiemy wodę do sedesu?

Pokazałam palcem w stronę plaży oddalonej o niecałe dziesięć minut pieszo.

– Dobra. Zabierzmy wszystkie możliwe bukłaki i butelki na wodę i pojedźmy tam skuterem, bo nie uniesiemy tego same – zdecydowała Karina.

W piżamach i kaskach na głowach udowodniłyśmy mieszkańcom wsi, że obcokrajowcy nie zawsze mają równo pod sufitem. Skuter obwiesiliśmy czterema bukłakami na wodę, a do plecaka wpakowałyśmy jeszcze kilka butelek.

Pędząc po kamienistej drodze wiodącej przez puszcę, czułyśmy powiew morskiej bryzy. Palmy szumiały nam nad głowami, a przed nami wyłaniała się biała plaża.

– A co to jest? Gdzie się podziało morze? – Aż musiałam zdjąć okulary przeciwsłoneczne, bo nie wierzyłam własnym oczom.

– To chyba najniższy poziom wody, jaki tu widzę od roku – roześmiała się Karina.

– Oczywiście... Akurat w dzień, kiedy potrzebujemy wody. Prawo Murphy'ego! – Nie dało się nie usłyszeć sarkazmu w moim głosie. Plaża, która zazwyczaj rozpościerała się może na dwadzieścia metrów szerokości, wydawała się teraz niekończącą się opowieścią.

Zostawiłyśmy skuter na skraju dżungli, w miejscu, gdzie nie zakopał się jeszcze kołami w piasek. Aby napełnić bukłaki, musiałyśmy wejść do morza przynajmniej po kolana. Tamtego poranka

wydawało nam się, że dno leży raptem dziesięć centymetrów pod poziomem morza.

Godzinę później siedziałyśmy na naszym ścigaczu i próbując utrzymać równowagę, cięższe o kilkadziesiąt litrów morskiej wody, usiłowałyśmy przemierzyć sto metrów pasma lasu, który wtedy jawił nam się jako dżungla amazońska.

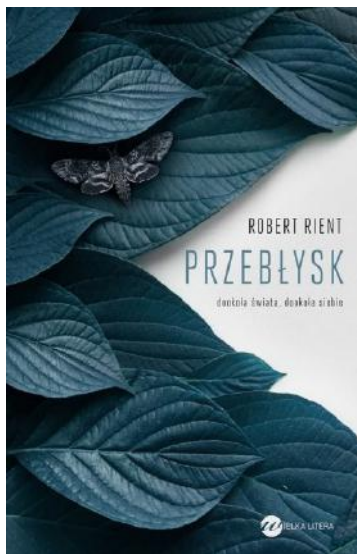
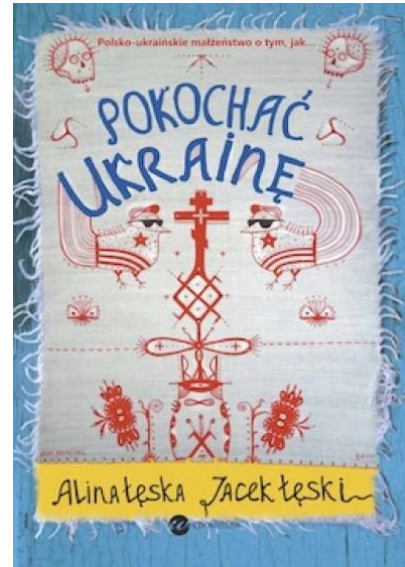
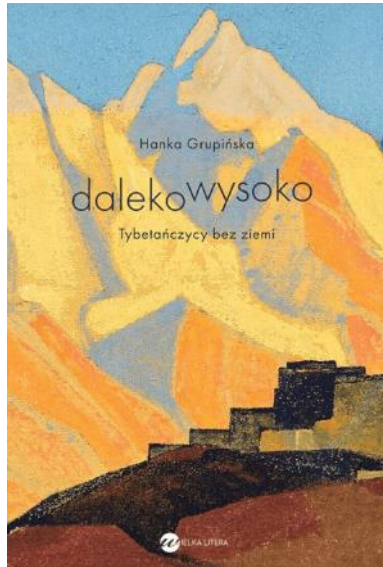
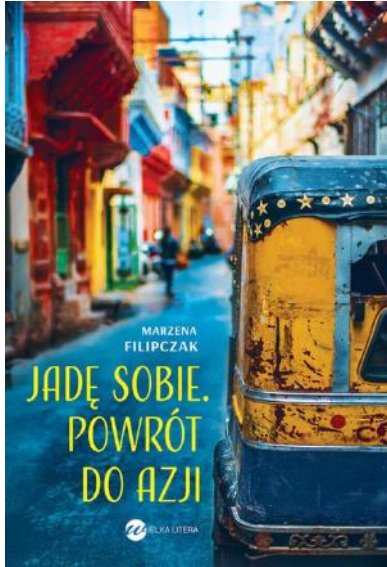
– Znając nasze dzisiejsze szczęście, pewnie woda już jest i wszyscy teraz się kąpią! – Karina próbowała przekrzyczeć silnik.

– Nie poszłyśmy biegać, bo nie miałybyśmy jak się wykąpać. A po tej wycieczce kapie z nas pot. Brawo my!



W małej tajskiej wiosce najlepszym środkiem transportu był skuter albo rower (ale rowerem nie przewiezie się kilku bukłaków wody z morza).

Mogą Cię także zainteresować:



Sprawdź nasze [NOWOŚCI](#)

Zapraszamy na wielkalitera.pl